



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimierz Borowiak

## Nie ten Kalisz

Urodziłem się 20 lutego 1930 roku w Kaliszu, jako syn Wacława i Wincentyny z Andrzejewskich. Siostra moja Maria urodziła się w 1931 roku. Na przełomie 1939 i 1940 roku w drodze był mój brat Jerzy, o czym w tym czasie jeszcze nie wiedziałem. Tata miał trzech braci: Adama, Felka i Kazimierza. Najstarszy Adam brał czynny udział w I wojnie światowej i zawędrował z Piłsudskim do Kijowa, skąd bardzo szybko „rejterował”. Do tego stopnia, że dwa dni posiedział z dwoma kolegami w rozłożystych konarach drzewa. W tym czasie pod drzewem chodzili bolszewicy. Uratował ich kontroler polskiego oddziału.

Tato mój w tym czasie musiał zarabiać, by utrzymać rodzinę. Dziadek Andrzejewski, ojciec Mamy, już nie żył. Został zamordowany przez „ochranę carską” tuż przed I wojną światową w Kościelnej Wsi – na pograniczu rosyjsko-pruskim (5 kilometrów od Kalisza).

Pod koniec sierpnia 1939 roku o godzinie 24.00 ktoś zaczął pukać do okna. Mama otworzyła okno i listonosz wręczył jej kartę mobilizacyjną dla mego Taty. Ojciec był cekaemistą. Okazało się, że ma się natychmiast stawić w jednostce, która stacjonowała za Bugiem. Spodziewał się, że pójdzie do niedalekiego Biedruska, a tymczasem... Okazało się też, że wszyscy jego koledzy idą w to samo miejsce.

Mama strasznie płakała. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Tato zapewniał ją jednak, że z wojny wróci żywy. To ją trochę uspokoiło. Ojciec wypił z kolegami nalewkę, po czym ze śpiewem pomaszzerowali na stację. U wszystkich widziałem wolę walki. Nikt z nich nie przypuszczał, że mogą przegrać. Byli pełni optymizmu i pewni zwycięstwa.

Byłem z Gienkiem Różewiczem na placu św. Józefa, gdzie społeczeństwo przekazywało zakupione przez siebie dodatkowe uzbrojenie. W uroczystości tej wziął udział generał. Plac był wypełniony ludźmi. Nowo zakupione uzbrojenie stało na środku placu. Księża dokonali poświęcenia. Jeszcze na placu ludzie przekazywali obrączki, kolczyki, srebrne i złote monety i inne wartościowe przedmioty.

Po odejściu z kamienicy prawie wszystkich mężczyzn, głównym organizatorem życia stała się pani Zenfler. Lokatorzy spotykali się wieczorem u niej w mieszkaniu. Co tam się działo? Omawiano sytuację bieżącą i dyskutowano, czy Hitler odważy się napaść na Polskę czy nie, czy pomogą nam Francja i Anglia. Takie spotkania kończyły się modlitwą i prośbą do Pana Boga, by miał Polskę i nas w opiece. Były to wstrząsające modlitwy, których się nigdy nie zapomni.

Na dwa dni przed wybuchem wojny spotkałem wieczorem w mundurze harcerskim, w pelerynie i z karabinem, mego wodza zuchów – Laskowskiego. Był bardzo zmęczony. Wracał ze służby, którą pełnił jako obserwator przeciwlotniczy. Powiedział mi, że zdobyłem trzecią gwiazdkę i przejdę od nowego roku szkolnego do drużyny harcerskiej. Muszę być dzielny i w domu zastąpić ojca.

W domu Mama z babcią i dziadkiem ustalili, że w razie wojny wyjedziemy na wieś do Zbierska. W dniu 1 września nic nie wiedząc, że wybuchła wojna, poszliśmy do szkoły. O godzinie 8.00 kierownik szkoły zrobił zbiórkę klas na boisku szkolnym. Były wszystkie nauczycielki, brakowało tylko dwóch nauczycieli. Wszyscy byli bardzo poważni. Stanęli w gromadce przed nami. Kierownik zwrócił się do nas ze słowami: „Moi drodzy. Armia hitlerowska napadła na Polskę. Lotnictwo niemieckie bombarduje nasze miasta i wsie. Wybuchła wojna. Polska jest w niebezpieczeństwie. Zajęcia szkolne zawieszam do odwołania. Wszyscy wracajcie do swoich domów. W razie nalotu kryjcie się w okopach i schronach przeciwlotniczych. Do zobaczenia w szkole, jak będzie bezpiecznie”. Nie przypuszczałem wtedy, że już nigdy do tej szkoły nie wrócę.

Po przyjeździe do domu dowiedziałem się, że wóz już czeka. Nie było jednak Mamy i siostry. Wujek podjął decyzję, że weźmiemy je po drodze. W mieszkaniu zostali babcia i dziadek. Nie chcieli wyjeżdżać. Postanowili pilnować mieszkania. Ostatecznie dobrze się skończyło. Mamę i siostrę zabraliśmy po drodze. Po kilku godzinach jazdy dobrnęliśmy do Zbierska – bez żadnych przeszkód mimo, że szosa była już przepełniona. Wioska Gliny była tuż, tuż. Za pół godziny byliśmy na miejscu. Miała bardzo fajne położenie – otaczała ją „podkowa” leśna. W wiosce było już sporo uciekinierów z różnych miast. W trakcie zbierania grzybów na dukcie leśnym zobaczyliśmy kilka tankietek oraz dwa samochody osobowe. Baliśmy się podejść. Była to chyba jakaś grupa zmechanizowana Armii Poznań, która wycofywała się i jednocześnie zabezpieczała wyższych oficerów. Tu też widziałem walkę powietrzną dwóch polskich i dwóch niemieckich samolotów. Była piękna pogoda, a ja zza rogu stodoły obserwowałem mimo, że miałem straszego pietra. Pociski szły seriami. Polacy ratowali się nurkowaniem. Niemieckie samoloty szły za nimi. Nasi wzlecieli w górę, zatoczyli koło i ostrzeliwując się zniknęli za horyzontem. Zaraz po tej walce powietrznej poszliśmy z kuzynem i chłopakami z wioski ścinać słupy telefoniczne, żeby Niemcy nie mogli wykorzystać linii do porozumiewania się między sobą.

Drugi przypadek z niemieckimi samolotami skończył się dla nich tragicznie. Leciały dwa na niskim pułapie, gdy nagle odezwała się nasza artyleria i CKM-y. Jeden spadł blisko naszej wioski, a drugiemu, który uciekał, kłęby dymu „waliły” z ogona. Na miejsce upadku samolotu pobiegłem z Jankiem. Gdy tam dotarliśmy, na miejscu był już sierżant, dwóch żołnierzy oraz grupka ludzi z okolicznych wsi. Lotnika nie było. Prawdopodobnie koloniści niemieccy już go ukryli.

Po tych nalotach na wsi wybuchł popłoch. Wszyscy chcieli uciekać. Ja z wujkiem Szczepaniakiem nałapaliśmy koszykiem ryb. Usmażyła je moja Mama z ciotką. Były dwa „kopiaste” talerze. Kobiety koniecznie chciały uciekać. Wóz załadowały pierzynami i zaprzęły do niego krowy. Koni nie było. Wysłały mnie po wujka, żeby szybko wychodził z chałupy i siadał na wóz. Wujek coś mruknął pod nosem, otworzył kredens, wyjął ćwiartkę wódki, połowę wlał do szklanki i siadł przy stole naprzeciwko mnie. Pomyślał chwilę i stwierdził, że my tymi krowinami daleko nie zajedziemy i po drodze wytłuką nas jak kaczki. Łyknął wódki i powiedział do mnie: „powiedz babom, że my nie pojedziemy i mają wóz rozładować. Zostajemy”. Wszystkie inne wozy też zostały na miejscu. Nikt ze wsi nie pchał się pod bomby.

W niedzielę rano duża grupa kobiet z dziećmi wybrała się do Zbierska, do kościoła na mszę. Po drodze na szosie spotkaliśmy kilku naszych żołnierzy, którzy uciekali biegiem. Byli spoceni i bardzo zmęczeni. Kazali nam wracać. Nikt jednak nie zawrócił. Przed Zbierskiem minął nas patrol niemiecki. W składzie patrolu był wóz pancerny oraz kilka motorów z przyczepami. Byli to pierwsi żołnierze niemieccy, których zobaczyłem. Wrażenie było okropne – ponure twarze, hełmy na głowach jakieś inne, okulary. Ci w przyczepach mieli „erkaemy” z lufami skierowanymi na naszą grupę. Strzałów jednak nie oddali i szybko pojechali dalej. Przez naszą grupę przeleciał strach. Kobiety zaczęły się modlić i płakać. Do kościoła dotarliśmy szczęśliwie. Zdażyliśmy na poranną mszę, która odbyła się w nastroju strachu. Było słyhać płacz. Moja Mama z siostrą też płakały, a ja udawałem, że zastępuję Tatę w tym towarzystwie. Robiłem wszystko, by nie beczec. Modliłem się, by Tato nie zginął na wojnie i wrócił zwycięsko do domu po wypędzeniu Niemców.

W drodze powrotnej ponownie spotkaliśmy patrol niemiecki. Byli wśród nich ranni. Leżeli w przyczepach. Znów mieliśmy szczęście – nie chcieli tracić czasu. Strzały nie padły i bez problemu wróciliśmy do wioski. Było to moje pierwsze spotkanie z tą potężną machiną hitlerowską, która niestety okazała się bardzo groźna i miała całkowicie odmienić moje życie.

Niemcy w wiosce się nie pokazywali. Nastal czas wyczekiwania. Naszej gromady uciekinierów trzymały się różne figle. Pewnego razu ciotka Szczepaniakowa przyszła do chałupy zmartwiona i ze złością stwierdziła, że jej kury przestały się nieść. Mało, że wojna to jeszcze kury strajkują. Nie wiedziała biedna, że my wysłedziliśmy, gdzie kury niosą jajka i wypijaliśmy je na surowo.

Do Kalisza wróciliśmy pod koniec września. Po drodze nie spotkaliśmy żadnego Niemca. Dopiero pod Kaliszem zobaczyliśmy żandarmów. Nie zatrzymali nas. Wróciliśmy na Podgórze 8. W mieszkaniu nic się nie zmieniło, bo babcia z dziadkiem pilnowali. W ogrodzie były niezasypane okopy i schron. W budynku zostały same kobiety i dzieci. Gołębie Mietka Skwarczyńskiego gruchały na dachu. Ja z Mamą wybrałem się do Dobrzeca, bo tam dzierżawiliśmy sady. Poszliśmy na koniec wsi do Sołtysia-

ka. Zerwaliśmy owoce i wracaliśmy z powrotem, a tu na wsi coś nagle się zmieniło. Na placu sportowo-zabawowym pełno Niemców i potężnych koni. Okazało się, że Niemcy nie tylko są zmotoryzowani. Patrzyli na nas bardzo nieprzyjemnie. Bałem się o Mamę. Jednak udało się nam przejść.

Początkowo niektórzy Niemcy, szczególnie oficerowie sympatycznie wyglądający, próbowali nas dzieciaków wykorzystać do propagandy hitlerowskiej. Często dawali nam cukierki i kilka fenigów do ręki, po czym robili zdjęcia. Taki przypadek miałem z Waldkiem Świerczyńskim na moście na Babinnej. Zobaczyła to pani Ślusarska – nauczycielka, która mieszkała w tej samej kamienicy co ja. Zawołała nas i powiedziała, żebyśmy od nich nic nie brali. „To są wasi wrogowie, którzy strzelali do waszych ojców. Oni was wykorzystują do propagandy” – powiedziała. Fenigi natychmiast wyrzuciliśmy do Prozny. Nigdy już żaden Niemiec nas nie oszukał.

Mojej Mamy po przyjeździe do Kalisza prawie nie było w domu. Cały czas poszukiwała Taty po różnych obozach jenieckich. My mieliśmy raj – nie chodziliśmy do szkoły. Głównym zajęciem była zabawa w wojsko. Bawiliśmy się w ogrodzie, gdzie były okopy i schron. Teraz urzędowało tam nasze dowództwo – Skwarczyński. Dużo czasu poświęcaliśmy również grze w piłkę nożną. Do piłki nożnej zaangażował mnie kuzyn Olek Andrzejewski. Byłem najmłodszy, musiałem grać na bramce.

Tato wrócił z wojny pod koniec października. Mundur i buty zamienił na jakieś stare ubranie. Kiedy przyszedł do domu, Mama go nie poznała. Opowiadał, że walczył między Włodzimierzem Wołyńskim a Łuckiem. Jednostka jego była jeszcze niedozbrojona. Nie mieli karabinów maszynowych. Zrobili Tatę komendantem podwoły i wysłali po karabiny maszynowe do Łucka, gdzie znajdowały się magazyny wojskowe. Zanim tam dojechał miasto zajęli czerwonoarmiści. Wrócił do swojej jednostki bez CKM-ów. Jednostka jego wycofała się przed bolszewikami w kierunku Bugu. Chcieli o świcie przejść przez Włodzimierz Wołyński. Miasto było już przystrojone czerwonymi i niebiesko-żółtymi flagami i gdy się tam pojawili, powitały ich salwy karabinowe. Przeszli bokiem. Dalej spotkali jeszcze inne jednostki. Skoncentrowali się i wzmocnionymi siłami zdobyli Włodzimierz Wołyński. Okazało się, że Żydzi i Ukraińcy czekali na Armię Czerwoną, a nie na Wojsko Polskie. W różnych obejściach stały zrabowane samochody, motory odebrane uciekającym Polakom.

Tato przeprawił się przez Bug. Miał wytyczoną trasę powrotu Mundur wymienił na cywilne ciuchy. Miał z sobą legitymację straży pożarnej, która uratowała go, gdy Niemcy legitymowali. Nie trafił do niewoli. Do domu dotarł resztkami sił. Mama była szczęśliwa, że wrócił. Jakiś czas me wychodził później z domu. W końcu poszedł do zakładu gdzie pracował przed wojną, do „Bielarni”. Właściciel – Niemiec przyjął go do pracy.

My nadal nie mieliśmy szkoły. Wydarzeniem miesiąca w październiku był przyjazd rodziny Klonowskich, która uciekła przed armią radziecką do Kalisza. Wyjechali w sześć koni. Dwa zarekwirowali im „światłani” czerwonoarmiści, a dwa Niemcy. Zaprzęg wzbudził wśród nas sensację. Wspaniały gniadosz przez rok był najbliższym przyjacielem naszej grupy. Właścicielem konia był syn prof. Klonowskiego. Przyjechały z nim dwie siostry i przyjaciel domu.

Niemcy po pokonaniu armii polskiej podzielili się łupami z sowietami. Swoje tereny podzielili na różne regiony. Nam przyszło żyć w „Wartegau”. Ten kraj nad Wartą i Prosną uważali za swoje obiecane ziemie (Poznań – Kalisz – Łódź), tak jakby od wieków do nich należały. Kalisz stał się Kalisch. Przystąpiono do zmiany nazw polskich na niemieckie. Wszystkie zarządzenia i ogłoszenia były w języku niemieckim.

Hala targowa na rynku została ogrodzona drutem kolczastym za którym umieszczono naszych żołnierzy. Wokół drutów przeciskały się kobiety i dzieci poszukujące swoich najbliższych. Przeszkadzali im w tym brutalnie wartownicy Wehrmachtu.

Po żołnierzach polskich hala targowa zapelniła się kaliskimi Żydami opieczętowanymi złotymi gwiazdami Dawida. Były to wstrząsające obrazy. Plac rynku stał się też miejscem egzekucji Żydów polskich a później też – choć sporadycznie – Polaków.

Nie od razu wywieźli Żydów. Utworzyli najpierw półotwarte getto. Znalazł się w nim także mój kolega z Pogórza, z którym przed wojną razem zbieraliśmy znaczki. Jego ojciec był krawcem.

Pamiętam wygnanie do getta. Zabierali ulicami. Przez ulicę Podgórze kilku esesmanów z psami prowadziło dużą grupę Żydów z tobołkami i walizkami. Nigdzie nie uciekali. Szli smutni z opuszczonymi głowami. Byłem później w tym getcie u mego partnera filatelistycznego. Getto było za fabryką fortepianów Fibigiera. Nie było otoczone drutami, tylko od czasu do czasu na obrzeżach spacerowali żandarmi. Wewnątrz mieli swoich policjantów z pałkami. Mieszkali i pracowali w dużych blokach. Pokoje były duże i wysokie. W jednej z izb mieszkały dwie lub trzy rodziny krawców. Szli mundury. W innych pokojach byli szewcy i cholewkarze. Ojciec kolegi mówił do mnie: „Ty go nie namawiaj do ucieczki. Pamiętaj, że my szybciej przeżyjemy niż wy, bo im szyjemy mundury, robimy buty wojskowe. My im jesteśmy potrzebni.” Byłem tam cztery razy. Zawsze coś przynosiłem do jedzenia. Przy ostatniej wizycie dowiedziałem się, że Niemcy nałożyli na nich kontrybucję. Wracając do domu zastanawiałem się, co to jest. Tato mi wyjaśnił, że jest to forma okupu. Niemcy byli perfidnymi bandytami. Najpierw „uśpili” Żydów sugerując, że będą potrzebni jako fachowcy, a potem wyciągnęli wszystkie ich pieniądze

i wartościowe rzeczy, które zdążyli schować. Na koniec zlikwidowali getto i prawdopodobnie wywieźli wszystkich do Łodzi.

Równocześnie z eksterminacją Żydów zrobiono z Kalisza niemieckie miasto. Zmieniono nazwy ulic. Powstały niemieckie urzędy, gestapo, żandarmeria, policja. Otworzono kina i teatr dla Niemców. Organizowano różne capstrzyki z okazji zwycięstw. Walili wówczas w werble i ryczeli. Odbywały się pochody z fanfarami sztandarami.

Kiedyś w trakcie takiego capstrzyku stałem sobie spokojnie na krawędzi chodnika z rękoma w kieszeni, z czapką na głowie. Było to obok kamiennego mostu, naprzeciw alei. Nagle otrzymałem potężne uderzenie w tył głowy. Padając zdążyłem wyciągnąć ręce z kieszeni. Szybko się pozbierałem i nie oglądając się wiałem ile sił w nogach. Za sobą słyszałem tylko okrzyk „halt”. Widocznie dali mi spokój, aby nie psuć uroczystej chwili. Było to pierwsze uderzenie szwabskie – nawet nie wiedziałem, który mi przyłożył.

Nie było dnia, by kogoś nie aresztowali. Uwięziono najstarszego syna Laskowskich. Pracował w Arbeitsamcie. Wyrabiał lewe dokumenty dla Polaków, którzy tego potrzebowali ze względów politycznych. Był pierwszym z naszej kamienicy, który zginął po wejściu Niemców do Kalisza i pierwszym z czwórki Laskowskich, którzy zginęli w czasie okupacji. Przeżył tylko jeden z synów.

Aresztowano i publicznie rozstrzelano księdza na Placu Św. Józefa. Z Kalisza wielu księży aresztowano i wywieziono do obozów koncentracyjnych. Wszystkie kościoły dla Polaków zamknięto, z wyjątkiem jednego – na ul. Częstochowskiej. Pozostawiono tam ks. Janowskiego, który miał już około 80 lat. Ale nawet w tym jedynym kościele na Częstochowskiej Niemcy nie dali nam spokoju. Często na zakończenie mszy robili obławy, legitymowali wychodzących. Niestety były też aresztowania. Sam byłem tam dwa razy legitymowany. Drugi kościół katolicki, św. Józefa, przeznaczony został dla katolików – Niemców.

Okupanci postanowili zorganizować nam szkołę. Mieściła się w budynku przy ul. Stawiszyńskiej. Uczyliśmy się w trudnych warunkach, bo klasy były małe, a uczniów dużo. Zresztą niemiecka edukacja i tak nie trwała długo.

Nasza nauczycielka była żoną Ukraińca. Znalazła sobie ucznia – osiłka, który o wszystkim jej donosił i bił słabszych. Kiedyś – już w zimie – postanowiliśmy z nim porozmawiać. Czekaliśmy na niego przed szkołą z pokrzywdzonym Tośkiem Zawadzkim. Niestety do rozmowy nie doszło, bo podszedł i chciał zbić nam kolegę. Nie wytrzymałem i dałem mu niechęć w nos. Krew połała się na śnieg. Na drugi dzień w szkole na pierwszej lekcji doszło do rozprawy. Skończyło się to tym, że dostałem po 50 „trzcinek” na jedną i drugą rękę. Dłonie mi spuchły, ale jednej łzy nie uroniłem. Za to pani trochę się przy tym zmęczyła. Przeklinałem tę kobietę długo. Odgrażałem się w duchu, że jej oddam.

Drugi dramatyczny przypadek. Wysłano nas ze szkoły, by ratować łabędzie, które przymarzały do lodu. Był straszny mróz. Rzeka była nierówno zamrożona. Kilka łabędzi złapaliśmy bez problemu, ale dwa pozostały i musieliśmy podejść brzegiem i ponownie wejść na lód. Miejsce było bardzo niebezpieczne, ale Broniek Kozłowski nie bał się. Zaczął badać lód, czy jest twardy. Nagle po szyję znalazł się w wodzie. Szybko powiązaliśmy szaliki i rzuciliśmy mu jeden koniec. Udało nam się go uratować. Gdy go wydobyliśmy, ubranie momentalnie na nim zamarzło. Biegliśmy razem dobre dwa kilometry do domu.

Szkołę w niedługim czasie zamieniono na przejściowy obóz dla aresztowanych polskich podoficerów i oficerów. Byłem tam kilka razy z kolegami. Przerzucaliśmy przez płot chleb i inne środki odżywcze oraz papierosy. Znaliliśmy teren.

## Praca przymusowa

W marcu 1942 roku otrzymałem wezwanie do Arbeitsamtu. Mieścił się on przy ul. 3 Maja w dawnej szkole powszechnej. Dostałem skierowanie do sklepu spożywczego na ul. Poznańską. Kierowniczką była Polka, dawna właścicielka, pani Skrzypczyńska, a ekspedientką Julia Kabat – jej siostrzenica. Pani Julia skończyła przed wojną małą maturę. Umiała dobrze mówić po niemiecku. Ojciec jej był emerytowanym „granatowym” policjantem. Przychodził często do sklepu. Kierowniczką nie mówiła po niemiecku i do końca wojny nie nauczyła się tego języka, za wyjątkiem: bitte, danke, guten morgen, aufwidersein itp.

Pracę w sklepie zaczynaliśmy o godzinie 6.45 a kończyliśmy o 19.15. Do mnie należało utrzymanie porządku – czyszczenie szyb, odkurzanie itp. oraz dostarczanie produktów do sklepu z magazynu lub hurtowni, takich jak papierosy, tytoń, zapalki, sacharyna itp. Towary te dostarczałem na swoich plecach – ukryte w worku.

Wszystkie produkty żywnościowe były na kartki. Polak ciężko pracujący otrzymywał 2 kilogramy chleba na tydzień. Z tego zamiennie mógł dostać 0,5 kilograma mąki. Cukier też był na kartki. Dla mnie najtrudniejszą pracą była sprzedaż ziemniaków. Przywożono je ciągnikami lub platformami konnymi.

Musiałem je wyładowywać do piwnicy. Od 700 rano rozpoczynaliśmy sprzedaż. Okres jesienno-wiosenny był dla mnie najgorszy. Plułem błotem, kichałem błotem i uśmiechałem się z kurzem na zębach. Często przy wrzucaniu ziemniaków do piwnicy pomagał mi Tato. Zdarzało się, że we dwóch zrzucaliśmy do pierwszej i drugiej w nocy. W piwnicy ziemniaki trzeba było rozprować pod sam sufit.

Od godzinie 11.00 do 13.00 sprzedaż była tylko dla Niemców, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów oraz dla „leistung Polen” (u nas były to rzadkie wypadki). Ja najczęściej między 11.00 a 13.00 wychodziłem z pieniędzmi do banku, po papierosy, tytoń i drobne rzeczy lub zносиłem naklejone na blankiety kartki do Wirthas Amtu – wydziału gospodarczego.

Papierosy i tytoń pobierałem z ratusza. Najczęściej wydawały tam dwie młode Niemki, których mężowie byli oficerami. Jeden służył w Wehrmachcie, a drugi w SS. Ponieważ byłem jasnym blondynem spodobałem im się. I zacząłem to wykorzystywać. Na ladzie miały zwykle gorsze papierosy. Wiedziałem o tym i prosiłem je, żeby mi dały kilka paczek lepszych z zaplecza, bo mam złą kierowniczkę. Kiedy szły na zaplecze, ja ściągałem z lady dodatkowe opakowanie do worka. Przyniesione opakowania dodawałem do tego i ślicznie dziękując zarzucałem worek na plecy i wychodziłem. Robiłem to, kiedy była tylko jedna wydająca. Paczkę dodatkową zносиłem do „socjalisty” na Babinng. Zapłatę otrzymywałem w znaczkach pocztowych. Pieniądzy nie brałem, bo Tato mógłby się zainteresować, skąd je mam. Znaczki zbierałem już w szkole, więc tolerował już to moje hobby. Przy każdym wyjściu po papierosy lub tytoń musiałem na placu ratuszowym zobaczyć wywieszoną „Volkische Beobachter” – rubrykę nekrologów. Byli tam sami wojskowi. Interesowało mnie ilu zginęło oficerów i podoficerów, a szczególnie z SS. Największą radość sprawiała mi śmierć generała.

Ciekawy miałem pierwszy kontakt z bankiem, do którego odnosiłem codzienne utargi. Podszedłem do kasy z markami otrzymanymi od kierowniczkii. Po drugiej stronie okienka siedział sympatyczny mężczyzna. Wziął pieniądze i kwit. Nagle przy liczeniu spochmurniał. Wstał, zamknął okienko. Wyszedł z kasy zamykając za sobą drzwi na klucz. Zastanawiałem się, gdzie on idzie. On tymczasem podszedł do mnie i za moment otrzymałem dwa sierpowe z prawej ręki. Zatoczyłem się, ale nie upadłem. Bolała mnie zuchwa. A kasjer wrócił do swego miejsca urzędowania i wyrzucając pieniądze na moją stronę warknął „ales mus ordnung”.

Wróciłem do sklepu z bólem pod uszami i opowiedziałem pani Julii o całym zdarzeniu. Zobaczyła pieniądze i orzekła, że pani kierowniczka nie poukładała pieniędzy według nominalów. Do dziś pamiętam i wiem, jak należy składać banknoty. Tego bankowego boksera ostatni raz widziałem na dzień przed wejściem do Kalisza czerwonoarmistów. Wychodził z banku. Miał karabin zawieszony na ramieniu oraz opaskę „Volkssturmu”. Mróz był siarczysty. Miałby wielkie szczęście, gdyby przeżył.

Do najbardziej nieprzyjemnych klientów należał garbaty gestapowiec. Mieszkał też na Poznańskiej. Chodził zawsze z wilczurem. U boku miał potężną kaburę, która świadczyła, że jego „spluwa” musiała być sporych rozmiarów. Zawsze zamawiał dwa piwa i dwie oranżady. Systematycznie otwierałem butelki (robiłem to wcześniej) i gęstą śliną plułem do nich, a później z miłym uśmiechem podawałem.

Im dłużej pracowałem w sklepie, tym więcej moje panie się do mnie przyzwyczajały. Kierowniczka nawet mnie zaczęła dokarmiać, a panna Julia przeprowadziła ze mną rozmowę na temat doksztalcania. Powiedziałem, że chętnie bym się uczył. Ale kiedy? Na drugi dzień po południu sklep był zamknięty, jednak wszyscy pracowaliśmy przy klejeniu kartek. Pani Skrzypczyńska w czasie przerwy obiadowej zawołała mnie do siebie. Poczęstowała herbatą i stwierdziła, że mogę chodzić na tajne komplety, ale tylko w czwartek – wtedy, kiedy mamy klejenie kartek. Pod warunkiem jednak, że tę robotę zrobię w innym czasie.

Któregoś jesiennego dnia 1943 roku przyszedł do sklepu pan Kabat (ojciec Julii) i poprosił mnie do magazynu. Stamtąd poszliśmy korytarzem do kuchni pani kierowniczkii. Na stojąco poinformował mnie, że wojnę z Niemcami możemy wygrać. Każdy musi jednak coś zrobić. „Chcemy żebyś ty też wykonywał jakieś zadania na miarę twoich sił i możliwości – powiedział. – Zadania te będziesz otrzymywał w ostatniej chwili. Od dziś dla mnie jesteś „Zuchem”. Nikt o tym nie może wiedzieć, nawet Mama i Tato. Nic mnie więcej nie pytaj. Stań na baczność i podnieś dwa palce prawej ręki w górę i powiedz przysięgam.” Po skończonej rozmowie wyszedł na ulicę Dobrzecką. Okazało się, że moje nowe zadania wiążą się z przeprowadzaniem ludzi przez Kalisz. Trasa wiodła na kierunku Częstochowy – ulicą Częstochowską do fabryki „Colenwertz”, a potem w lewo. Tam przy szosie rosły drzewa, przy których zostawiałem nieznanego mi osobnika (była to trasa pielgrzymek do Częstochowy). Odbywało się to w porze porannej, gdy ludzie szli do pracy. Niemcy wtedy nie legitymowali.

Opowiem o dwóch ciekawych przypadkach. Było to w czasie walk w getcie warszawskim. Mleczarek z Kościelnej Wsi przywiózł do sklepu potężnego mężczyznę. Kierowniczka wzięła go na zaplecze, a stamtąd do kuchni. Był w granatowym kombinezonie roboczym. W tym czasie pracowała już inna ekspedientka. Mała, zawsze uśmiechnięta. Nazwiska jej nie pamiętam. Ona zajęła się nieznanym mężczyzną. Dała mu jeść i przygotowała ciepłą wodę, aby mógł się umyć i odpocząć. Był strasznie osłabiony i napuchnięty. Jak mu się palcem nacisnęło na ciało, to pozostawało wgłębienie, które po chwili dopiero znikło. Był u kierowniczkii trzy dni. Okazało się, że uciekł z obozu koncentracyjnego. Był

„kommandie” krematoryjnym. Pracował przy spalaniu zwłok. Opowiadał, jak odprowadzano tłuszcz z palonych ciał i robiono różne gatunki mydła. Było takie lekkie mydło w sklepie. On potwierdził, że to właśnie jedno z tych. Mówił, że z ludzkiej skóry wyrabiano różne rzeczy, między innymi abażury na lampy nocne, a z włosów wyściełano siedzenia foteli i tapczanów. Kazał przekazać znajomym, żeby nie kupowali urn z prochami swoich najbliższych z obozów. Bo to nie były ich prochy, a kosztowały kilkaset marek.

Do obozu koncentracyjnego trafił z oflagu. Należał do grupy podchorążych, którzy się zbuntowali w obozie jenieckim. Miał stopień sierżanta podchorążego kawalerii. Pochodził z Krakowa – ojciec miał tartak. Opowiadał, że na bramie obozu był napis: „Arbeit macht frei”. Ludzie, którzy ich przyjmowali bardzo dobrze mówili po polsku. Podpytywali ich, czy mają dolary, obrączki i jakieś inne cenne rzeczy – to im przechowują. Jak wchodzili do obozu, grała im orkiestra. Początek zapowiadał się pięknie, a na koniec trafił do krematorium obozowego. Wszyscy z nich zdawali sobie sprawę, że ich czas jest policzony. Żywi stamtąd nie mogą wyjść. Tylko ucieczka ich ratowała. Zostali wysłani do lasu po drzewo pod eskortą esesmanów. Jak wracali był nalot. Esesmani uciekli do rowów przy szosie. A ich trzech zaryzykowało ucieczkę z powrotem do lasu. Jednego z nich zastrzelili. Ostatecznie dotarli do Poznania. Tam go podleczyli i kanałami przeprowadzili do Kościelnej Wsi pod Kaliszem (była tam siatka AK). Podkarmionego, opranego i podleczonego przeprowadziłem go znaną trasą Częstochowską.

Drugi przypadek. Musiałem przeprowadzić niesforne małego człowieka przez Kalisz na Łódź. Po wyjściu ze sklepu powiedział mi, że pójdziemy głównymi ulicami. Zastanawiałem się, co zrobić, bo miałem inne polecenie. Zacząłem oponować. On stwierdził jednak, że najbezpieczniej jest tam, gdzie najwięcej Niemców. Poszliśmy Poznańską do rogatki i skręciliśmy przy zegarze w lewo. Stąd szliśmy prosto do ratusza po prawej stronie. Tuż przed ratuszem zbladłem, bo zza zakrętu wyłonili się dwaj „feldpolicaje” z blachami na piersiach. On coś zauważył. Złapał mnie za rękę i mówi: „uśmiechnij się i coś mów do mnie”. Przed nami szedł jakiś młody człowiek. Zatrzymali go i zaczęli legitymować. My w tym czasie cudem chyba się przeslizgnęliśmy obok nich. Chciałem go poprowadzić przez Plac Kilińskiego i most na Łódzką. On znowu wołał iść inną drogę – przez Plac św. Józefa – bo tamtędy bliżej. Trasa ta była zakazana dla Polaków. Poszliśmy przez Plac Św. Józefa i park, mimo że była tablica „Nur für Deutsche”. Byliśmy już niedaleko więzienia kaliskiego, gdy na schodach ujrzeliśmy dwóch młodych „wehrmachtowców”. Byli tak zajęci rozmową, że na nas nie zwracali uwagi. Wreszcie doprowadziłem go do cementarza Tymieckiego i tu za bramką zostawiłem. Na pożegnanie przycisnął mnie do siebie i powiedział – „bywaj zdrów”. Ja wróciłem pod ratusz i zacząłem bezmyślnie studiować nekrologi w „Volkische Beobachter”. Popatrzyłem na zegar ratusza – była godzina 13.30. Zaczął się okres przerwy obiadowej. Wracałem wolno na Poznańską do naszego sklepu. Po przyjsciu poprosiłem o szklanek zimnej wody.

Kolejne zdarzenie. Było to w sobotę wieczorem. Miasto zaciemnione i wieczór pochmurny. Człowiek mógł dostać w gębę i nie wiedziałby komu podziękować. Wyszła nas z Podgórze piątka chłopaków bez specjalnego celu. Mieliśmy latarki. Ja wziąłem młotek i bolec stożkowy. Pod ratuszem odłączyliśmy się z Benkiem Hepertem i podeszliśmy do beczki z wodą. Zrobiłem dwie dziury i wróciłem do niego. W międzyczasie Heniek Podsiadły z Edkiem Zawadzkiem i Staszkiem Mleczarkiem gdzieś nam zniknęli. Myśleliśmy, że schowali się za filary ratusza. Weszliśmy między filary i zapaliliśmy latarkę. Nagle ktoś włączył reflektor i wrzasnął: „halt!”. W pierwszym momencie mnie oślepił. Benek w tym czasie skręcił w bok i uciekł za filar. Ja chciałem zrobić to samo, ale złapał mnie skręcającego za kołnierz. Odebrał mi ausweis i latarkę. Pytał z kim jestem. Powiedziałem, że nie znam tego człowieka. Kazał mi się zgłosić na żandarmerię o godzinie 9.00. Żandarmeria była na ul. Grodzkiej w budynku gimnazjum Asnyka – kończyłem tam po wojnie małą maturę. Złapał mnie o godzinie 20.40. Wróciliśmy do domu o godzinie 20.55. Całą noc nie spałem. Przychodziły mi do głowy różne myśli. Chciałem uciekać do Generalnej Guberni, względnie gdzieś się ukryć. Ale bałem się o swoich. Popatrzyłem po łózkach – miałem troje rodzeństwa i rodziców. Obawiałem się też, że mogą połączyć ze mną dziurawą beczkę na wodę.

Wstałem o godzinie 7 rano. Umyłem się i wyszedłem na ulicę. Było jeszcze szaro. Postanowiłem pójść na żandarmerię. Mama czegoś się domyślała, chociaż nie powiedziałem jej, co się wydarzyło. Poprosiłem Heńka Podsiadło, że gdyby mnie aresztowano, to niech powie rodzicom. O godzinie 8.30 wyszedłem z domu. Grupa kolegów odprowadzała mnie idąc za mną w odpowiedniej odległości. Za minutę dziewiąta otworzyłem drzwi do żandarmerii. Przy drzwiach bokiem stał stół, za którym siedział podoficer dyżurny. Powiedziałem mu, że miałem się zgłosić o 9.00. Popatrzył na zegarek, uśmiechnął się i kazał mi iść „grade aus und nach links”. Pokój nr 5 był na końcu korytarza. Zapukałem. Usłyszałem „rajn” – wszedłem. Przed moimi oczami ukazała się postać łysego, pokrętnego podoficera. Znałem go z widzenia. Miał mleczarnię na rogatce. Był z Kalisza. Wstał i zaczął na mnie wrzeszczeć. Ja się cofałem. Nagle zamachnął się na mnie. Zdążyłem się zasłonić ręką i uderzenie wylądowało na czole. W tym momencie drzwi do drugiego pokoju otworzyły się i stanął w nich żandarm, który był rewirowym terenu, gdzie był nasz sklep. Padły słowa: „was ist lous”. Mój prześladowca stanął na baczność, rękę wyrzucił wyprężoną do góry i zameldował, że świeciłem latarką po godzinie 21.00 (była

godzina policyjna). Ja wyjaśniłem, że o godzinie 20.50 byłem już w domu. Popatrzyłem na mego żandarma – poczerwieniał i myślałem, że mnie zabije. Jednak nic takiego się nie stało. „Mój” rewirowy wziął mnie do swojego pokoju. Na środku stał duży stół. Po lewej stronie były trzy żelazne szafy, a po prawej biurko. Otworzył szufladę stołu. Były tam same latarki. Moja leżała na górze. Spytał, która jest moja. Pokazałem. Wziął ją do ręki i próbował zapalić, ale nie mógł. Wcześniej się tłumaczyłem, że zapaliłem przypadkowo. Oddał mi ją i kazał zaświecić. Początkowo też mi się nie udawało. Powiodło się dopiero za trzecim razem. Uwierzył mi. Otworzył żelazne szafy. Oczom moim ukazały się różne narzędzia do złamania każdego, który był wrogiem Rzeszy Niemieckiej. Od drzazg pod paznokcie do różnych metalowych narzędzi tortur. Przy tej demonstracji wrzeszczał „kuken”, „kuken”. Zamknął szafy i wziął mnie do pokoju wyjściowego, gdzie siedział żandarm, który mnie złapał. Wypisał jakiś kwitek, wyrwał z bloczka i krzyknął „bycalen drei mark sztraf”. Miałem przy sobie pięć marek i dałem mu – wydał dwie marki. Odprowadził mnie do dyżurnego i kazał mnie wypuścić. Moi koledzy byli zdziwieni, że tak szybko wyszedłem. Opowiedziałem wszystko Heńkowi. Niby uwierzył, ale przez 3 miesiące czułem, że odnoszą się do mnie z nieufnością.

W poniedziałek rano byłem w sklepie już o godzinie 6.30. Opowiedziałem pani Skrzypczyńskiej co się stało w sobotę wieczorem i w niedzielę rano. Stwierdziła, że on na pewno do nas przyjdzie. Była godzina punkt siódma. Wszedł do sklepu, podniósł rękę i wrzasnął „heil Hitler!”. Był z teczką. Ja schowałem się za szklaną gablotę, która stała na kontuarze. Pogroził mi palcem. Panna Julia doszła do niego, by z nim porozmawiać. Kierowniczka zaczęła wyklądać na kontuar różne produkty, bardzo pożądane: cukier w kostkach i zwykły, majkę, papierosy, cygara, herbatę i inne. Było tam tego pół kartonu. Panna Julia cały czas z nim rozmawiała, a pani Skrzypczyńska ładowała towar do teczki. Nie wszystko się zmieściło, więc przyniosła z domu własną torbę i resztę do niej zapakowała. Wychodził tyłem i już nie było „hail Hitler”, ale „file danke” i „aufwiderseien, mein frau”. Widać było, że był zakłopotany, ale szczęśliwy, bo jak powiedział, gdybym coś zawinił, to by mi nie mógł pomóc.

Od tego czasu już nie sprawdzał, czy jest kurz na półkach. Ta sprawa miała swój finał po kilkunastu latach w Warszawie. Byłem u Heńka i przyznał się, że mieli wątpliwości, że tak szybko wyszedłem. Przeprosił mnie, że się pomylili.

## Tajne nauczanie i zorganizowana działalność przeciwko okupantowi

Tajne nauczanie rozpocząłem u pani Felicji Mazurowskiej, byłej nauczycielki gimnazjum związkowego w Kaliszu. Mieszkała na rogu ulic Podgórze i Kopernika. Chodziłem dwa razy w tygodniu – w czwartek i w niedzielę.

Pierwsza lekcja, którą do dziś pamiętam. Pani Mazurowska usiadła w fotelu. Była w ciemnej sukni, na ramionach miała biały szal. Na stoliku paliła się lampa przysłonięta abażurem. Światło padało tylko na stolik i na książkę, którą trzymała w rękach. Za chwilę padły czytane słowa:

*Litwo! ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił.*

Mnie po plecach przeszły ciarki. Pani Mazurowska spokojnie powiedziała, że zaczęliśmy nauczanie od Inwokacji z „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.

Po interpretacji odczytanych słów Adama Mickiewicza uświadomiła mi, na jakie niebezpieczeństwo wspólnie się narażamy, gdyby Niemcy nas wykryli. „Na zajęcia możesz wziąć tylko jeden zeszyt, względnie luźne kartki. Zeszyt należy schować za pasek z tyłu. Nikomu nie możesz się chwalić, że chodzisz do mnie się uczyć. W razie, gdyby Niemcy zastali Ciebie u mnie, to przyniosłeś mi lekarstwa” (stały cały czas na stole) – tłumaczyła. Nazwę ich musiałem pamiętać.

Od czasu do czasu wyjątkowo na zajęciach było nas dwoje. Przychodziłem z Lucyną Mocną. Mieszkałiśmy w jednym domu. Niemcy widząc chłopaka z dziewczyną niczego się nie domyślali. Gorzej, gdy szło dwóch lub trzech chłopaków. Zaraz weszli spisek i legitymowali.

W piecu kaflowym zawsze był przygotowany papier do podpalenia, gdyby Niemcy się dobijali do drzwi. Robiliśmy ćwiczenia w paleniu zeszytu i kartek, które zapisywaliśmy w czasie zajęć. Okazało się, że Heniek Podsiadły też chodził do pani Mazurowskiej na tajne nauczanie. Z Heńkiem widywaliśmy się codziennie – mieszkałiśmy w jednym mieszkaniu i mieliśmy wspólną piwnicę. Ta piwnica miała się stać naszym tajnym magazynem, o którym nic nie wiedzieli nasi rodzice.

Heniek pracował w odlewni (giserni) na Piskorzewskiej. Z pracy wracał strasznie brudny. Tylko białka oczu i zęby błyszczały bielą. Miał przezwisko „Murzyn”, a później taki sam pseudonim.

W maju 1943 roku na wspólnym spacerze doszliśmy do wniosku, że musimy zorganizować jakoś pracę przeciwko Niemcom. Złożyliśmy uroczystą przysięgę. Uzgodniliśmy pseudonimy. Heniek przyjął pseudonim „Murzyn”, a ja „Biały”. On został szefem, a ja zastępcą. Rozpoczęliśmy werbunek grupy.

Następnym, którego zwerbowałem, był Staszek Mielczarek (mieszkał na rogu Wroniej i Harcerskiej). My mieliśmy stworzyć dwa zastępy. Ja pierwszy, Staszek drugi. Następny był Edek Zawadzki. Mieszkał obok nas pod 17-tką. Zajął się wywiadem. Miał diabelną pamięć – wszystko wiedział. Heniek zorganizował magazyn w piwnicy. Zrobił skrytkę, gdzie przechowywaliśmy różne rzeczy. Pierwsze to były kulki z łożysk, które przytargał z zakładu. Heniek w specjalnej skrytce przechowywał też metalowe elementy z Pomnika Legionistów internowanych w Szczypiornie podczas I wojny światowej. Wyniósł to z zakładu, w którym pracował. Przeznaczone były na przetopienie. Heniek wygrawerował krzyż harcerski i lilijkę. Na „odrapankach” – w okolicach obecnego nowego szpitala kaliskiego – zorganizowaliśmy przyrzeczenie harcerskie. Tekst napisał Heniek. Akcja była tylko częściowo udana. Złożyliśmy przyrzeczenie i musieliśmy wiać, bo Niemcy wybrali się na polowanie. My natomiast myśleliśmy, że to na nas oblawa.

Jedna z pierwszych akcji, to strzelanie kulkami łożyskowymi z procy do okien Niemców. Dostał też dwie kulki gestapowiec – garbus. Następne akcje to niszczenie skrzyń z piskiem przygotowanych do obrony przeciwołtniczej, dziurawienie beczek z wodą itp.

Wpadliśmy na pomysł, by wystraszyć nieliczne Polki, które często chodziły z Niemcami. Ja poprosiłem Tatę, by przyniósł z fabryki kwasu siarkowego i solnego. Powiedziałem, że Mietek Skwarczyński potrzebuje go do robienia baterii. Tato przyniósł. Tymi środkami polaliśmy tyłki kilku „damom” stale łąącym z Niemcami. Dla mnie ta akcja skończyła się nieprzyjemnie, bo przy polewaniu ochlapałem swoją nową kurtkę (kwas solny). Zmieniła kolor z brązowego na żółty, a później zrobiły się dziury. A mimo to miałem przyjemność porozmawiać od czasu do czasu z taką, którą nauczyliśmy rozum.

Pod koniec okupacji zaczęliśmy walczyć słowem i nalepialiśmy kartki z hasłami ośmieszającymi Niemców i „wodza”. Treści tych kartek nie były specjalnym wyczynem literackim. Oto jedna z nich: „Nasrać na Hitlera węglisko, bo wyzwolenie blisko”. Heniek taką kartkę nakleił na „glapie” gestapo w alei. Trudność polegała na tym, że gestapo mieściło się w niedużej, ślepej uliczce na Jasnej. Wchodziło się tam z alei i wychodziło w aleje.

Ja miałem dworzec oraz ulicę Górnośląską, gdzie była żandarmeria. Na budynku wisiała gabłota, gdzie umieszczane były gazety i zarządzenia. Kartkę z hasłem miałem nakleić na szybie gabloty. Było nas dwóch. Zbliżała się godzina 20.30. Za pół godziny mieli mieć zmianę. Był to najlepszy czas. Podeszliśmy do gabloty. Kolega asekurował mnie od drzwi na żandarmerię. Udawaliśmy, że czytamy. Wolno nakleiłem nasze hasło i spokojnie zaczęliśmy odchodzić, mimo woli przyspieszając kroku. Przy zegarze na rogatce już bieglismy.

W niedzielę pytam Tatę, gdzie się wybiera. „Idę się przejść” – odpowiada. „Lepiej byś poszedł do wujka Andrzejewskiego na karty” – mówię. „A co tam opowiadasz!”. I poszedł. Za kilka minut wrócił zły. Niemcy powariowali – biją przechodniów.

Jednak najodważniejsza była akcja „chodnikowa”. Obok Nazaretanek remontowali chodniki. Duże schodzone płyty poukładali na bloku. My kilka ułożyliśmy tak, że jak ktoś po ciemku nadepnął na niżej postawioną płytę, to druga spadała na nogę. Heniek jednak chciał równocześnie zrobić dodatkową robotę. Niemcy robili połowę drogi od zegara do Poznańskiej. Stała tam prowizoryczna szopka z narzędziami. Oderwaliśmy więc kłódkę i powyciągaliśmy taczki i kilofy na tę część jezdni, gdzie przejeżdżały samochody. Pilnowaliśmy ze Zdziśkiem, żeby na nasze płyty nie wpakował się ktoś z Polaków. I właśnie nadszedł starszy człowiek, trochę dziwak. Tato się śmiał, że jak walczył z Piłsudskim, to go postrzelili w piętę. Na siłę chciał iść w to miejsce, gdzie były płyty, ale ja go odprowadziłem. Wracam i słyszę krzyki: „o mein Gott”. Ktoś wlaź na płytę. Podbiegłem. Zdzicha nie było, ale za mną zaczęło krzyżeć dwóch żandarmów. Zaczęłam uciekać, a jeden z nich pobiegł za mną. Czuję go z tyłu. Chyba nie mógł otworzyć kabury. Wpadłem na Kopernika za bramę na podwórko. Wskoczyłem na śmietnik i stamtąd przewinałem się przez mur. Znalazłem się w wąskiej uliczce i zwałem do ogrodu, gdzie kiedyś mieszkałem. Poszedłem na punkt kontaktowy, na ulicę Ogrodową. Było strasznie ciemno. Zdzichu już czekał. Pytam co się stało. „Jak jeden wpadł na płytę, to się zaśmiałem – mówi. – Dostałem w łeb – hitlerówka nie spadła, ale oni pobiegli za tobą. Ja się pozbierałem, wziąłem czapkę i zwałem.” Heniek ze swoją grupą uciekał przez cmentarz niemiecki. Wszystko się dobrze skończyło, ale żaden samochód nie wpadł w zastawioną pułapkę – Niemcy mieli zamalowane reflektory na niebiesko – tylko pasek 2-3 centymetrowy oświetlał drogę. Jeździli wolno i rzadko. Akcję uznaliśmy za udaną, bo narobiliśmy im trochę popłochu.

Czytałem książki pod pierzyną, bo mama się bała, że żandarm może strzelać w okno, jeśli przez zaciemnienie będzie prześwit światła. Musiałem czytać, co mi pani Mazurowska zaleciła. Często musiałem kupować baterie do latarki.

Stałym naszym obowiązkiem było szantażowanie „wołyn dojczy” i „boladen dojczy”, żeby nie czuli się za pewnie. Były takie przypadki, że robiliśmy na nich polowania. Najczęściej, gdy szli pojedynczo lub we dwóch, ktoś z nas zaczynał z nimi i uciekał za umówiony róg. My już tu czyhaliśmy. On wypadł zza rogu i wtedy był bezbronny. Podkładaliśmy nogę lub strasziliśmy go. Były jednak sytuacje, że niektórym się dostało, szczególnie tym, którzy bili naszych.



Wszyscy byliśmy na „Die deutche Wohlen szau” – kronice filmowej, w której Mikołaja Kopernika pokazywali jako wielkiego astronoma niemieckiego. Po tym była dyskusja na temat perfidii propagandy goebbelsowskiej.

Byliśmy też na kronice „Deutche Wohen szau”, gdzie pokazano zamordowanych oficerów polskich oraz przedstawicieli międzynarodowej komisji, wśród której byli także i biskupi (Katyń).

Mieliśmy naszą gadzinówkę, chyba „Kurier Warszawski”, w którym był artykuł o zniszczeniu I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Bilety w kinie ja zamawiałem wykorzystując pieczętkę sklepu, w którym pracowałem.

## Przeprowadzka

W marcu 1942 roku rodzice oznajmili nam, że się przeprowadzamy. Ja tę wiadomość przyjąłem bez entuzjazmu. Prawdopodobnie nie chciałem się wyprowadzać, gdyby nasz dom był tak miły, jak przed wybuchem wojny. Odeszli stąd Laskowscy – pięciu fajnych mężczyzn z moim wodzem suchów na czele. Los był dla nich straszny. Nigdy już nie wrócili sierżant Dorywalski, Ziutek Zenfler, porucznik rezerwy. pan Ślusarski – ojciec Jasia. Pozostał tylko wspaniały stolarz Skwarczyński z dwoma synami, do których lubiłem chodzić do gołębnika i do cukrówek, które także półdziko trzymali. Był to już inny dom. Klonowskich, którzy przyjechali z Wileńszczyzny, Niemcy obrabowali ze wspaniałej biblioteki, konia gniadosza i mebli. Babcia Grulakowa i jej drugi mąż zmarli. Tak dużo w tak krótkim czasie się tu zmieniło.

Było mi naprawdę wszystko jedno. Jednak w tym domu nikt z naszej najbliższej rodziny nie zginął. A co będzie tam – trudno przewidzieć.

Dom Woldańskiego na Fichtestrasse 19, był najwyższy w naszej okolicy. Wybudowany został przed I wojną światową. Z jego strychu można było obserwować przedpola Kalisza. Ja z Tatą obserwowałem atak „białych kombinezonów” na Kalisz. Jak poszły w górę czerwone rakiety, to poderwało się ze śniegu mrowie ludzi. Niemcy walili do nich z czołgów stojących na szosie. Wielu z nich zginęło nie zabijając żadnego Niemca.

Wybiegłem jednak ze wspomnieniami do przodu. Na początku mieliśmy dobre warunki mieszkaniowe, pokoje były wysokie. Mieszkanie było ciepłe. Jurek też się dobrze czuł, znalazł sobie kolegów. Tu urodziła się Jadzia – ulubienica Taty.

Nie można było nigdzie kupić mięsa na chrzciny Jadzi. Tato kategorycznie stwierdził, że mięso musi być. Przycisnął wujka Mierzwiaka – musisz to załatwić. Wujek przyrzekł, że załatwi, ale musiał je odebrać Tata. Groziła za to kara śmierci. Tato poszedł do Kościelnej Wsi. Ubrał się w strażackie spodnie i buty z cholewami. Założył najlepszy płaszcz i kapelusz. Wracając przechodził przez Dobrzeć. Było już ciemno. Z przeciwnej strony szli hitlerowcy z psem i w mundurach S.A. Tato nie zawahał się, Szedł pewnie energicznym krokiem. Tamci podnieśli łapy do góry i wrzasnęli: „hail Hitler”. Tato spokojnie odpowiedział to samo. Po przyjsciu do domu z przejęciem opowiedział o tym mamie: „Wikcia – moje życie wisiało na włosku, ale udało się.”

Tato był odważny, ostrożny, a jednocześnie w kłopotach solidarny z bliskimi. Wujek Mielczarek uciekł z Niemiec i wrócił do domu. Pod dom podjechała kiedyś DKW-ka i wysiadło z niej dwóch gestapowców w czarnych, skórzanych płaszczach i kapeluszach. Wujek wyskoczył z mieszkania na podwórko do ubikacji, a jego ojciec założył fartuch szewski i stukał w buty osadzone na kopytach. Ja też pobiegłem do ubikacji. W jednych drzwiach wystawał zagięty palec. Podeszedłem i powiedziałem, że poszli do jego mieszkania. Wujek odpowiedział – „Spokojnie odejdz i obserwuj. Jak odjadą, to przyjdź i powiedz.” Odszedłem i czekałem. Minuty leciały jak godziny. W końcu wyszli i nikogo nie zabrali. Ja pobiegłem do wujka i powiedziałem, że odjechali. Cichym głosem odpowiedział, że bym poszedł do mamy, że przyjdzie. Za chwilę się zjawiał. Był błądy. Mama otworzyła okno na daszek, z którego można było zeskoczyć na inne podwórko i zbiec na równoległą ulicę lub bramę dalej.

Po przyjsciu Taty z pracy dość długo się naradzali. Słyszałem jak Tato proponował kontakt na Generalną Gubernię. Wujek powiedział: „Wacek, najbezpieczniej w paszczy lwa. Będę uciekał do Berlina”. Uciekł, ale prawdopodobnie rozpoznał go ktoś. Już nigdy nie wrócił.

Pod oknem na daszek Tato też kilka razy wyczekiwał, gdy była jakaś wsypa. Powiedział, że się nie da złapać żywym. Niestety przyszły czarne dni. Jurek zachorował na ospę. Był bardzo radosnym chłopcem. W przeddzień choroby mocno go skrzyczałem, bo przyszedł do mnie i opowiedział jak do „Siojdy” poszli na jabłka i jak on ich gonił i przeklinał. Miał do mnie duży żal, że nie podzieliłem jego radości. Na drugi dzień już był chory. Miał wysypkę, gorączkę. Tato pobiegł po polskiego lekarza. Przepisał lekarstwa, ale ich nie było, albo Niemcy nie chcieli sprzedać. Dr Szulc zaproponował rodzicom, żeby go oddać do szpitala. Rodzice się zgodzili. W czasie odwiedzin na oddziale dziecięcym dla Polaków ujrzałem makabryczny obraz. Dzieci wyglądały strasznie. Dosłownie jak małe kościotrupki. Duże główki, a nogi i ręce to same kości. Do Taty podeszła pielęgniarka Polka i powiedziała, żeby Jurka natychmiast

---

odebrać, bo ordynator – lekarz, oficer SS, osłabionym dzieciom wstrzykuje prątki Kocha i bada reakcje organizmu na zakażenie gruźlicą.

W poniedziałek Jurek był już w domu. Niestety choroba rozwijała się błyskawicznie. Byłem go często odwiedzać, bo blisko pracowałem. Mówił do mnie, że niedługo umrze. Ja go pocieszałem, że za tydzień będzie biegał. Byłem w pracy, szuflowałem kartofle, gdy przybiegła córka sąsiadki z krzykiem, że Jurek umiera. Zostawiłem wszystko i pobiegłem do domu. Tato trzymał Jurka na rękach i pocieszał go – będziesz żył. Brat zobaczył mnie i ucieszył się, że jestem. Uśmiechnął się i powiedział: „Kaziu, pocałuj mnie. Ja umieram.” Ta rozpacz i bezradność, że nic mu nie można pomóc! W czasie pogrzebu, jak wyjeżdżaliśmy dorożką, była straszna ulewa. Jadzie mama zostawiła u sąsiadki. Przyjechaliśmy z pogrzebu i okazało się, że i Jadzia jest chora. Miała zapalenie opon mózgowych. I to dziecko musiało odejść w niecały miesiąc po Jurku. Gdyby mieli opiekę lekarską, oboje mogliby żyć.

Ten potężny budynek był dla nas nieprzychylny. W czasie walk o Kalisz, dzień przed wypędzeniem Niemców, wszyscy siedzieliśmy w piwnicach. Mama ugotowała obiad i mieliśmy znieść go do piwnicy. Jednak zdecydowaliśmy się z Tatą zjeść go na górze. Dla bezpieczeństwa przesunęliśmy stół od okna za ścianę. Skończyliśmy obiad i schodziliśmy właśnie na dół. Ja byłem w drzwiach klatki schodowej, Tato w połowie podwórka. Nagle silne uderzenie w dom. Cała kamienica zatrzęsała się, a w ścianie na wysokości miejsca, gdzie jedliśmy obiad powstała dziura. Gdybyśmy pozostali przy stole, byłoby po nas...